

Bartosz Światłowski: Prezydentura impotentna

Gdy wszyscy forsują własną politykę historyczną, prezydent Komorowski popada w zadumę nad kwestią terminów



Gdy wszyscy forsują własną politykę historyczną, prezydent Komorowski popada w zadumę nad kwestią terminów

Jedyną pewną obserwacją jaką można poczynić po dwóch latach prezydentury Bronisława Komorowskiego jest jej niekoherentność, szczególnie na tle spójnej i odważnej wizji śp. Lecha Kaczyńskiego. Trudno o pewną konstatację na temat kierunków jego polityki zagranicznej, roli w jakiej widzi się Komorowski jako podmiot polityki wewnętrznej czy choćby wagi jaką przywiązuje prezydent do symbolicznego wymiaru własnych gestów. Nie jest to jednak ten rodzaj niepewności, która pozostawia cień nadziei na istnienie ukrytego sensu sprzecznych postaw i akcentów, ale raczej mizéria politycznego projektu, podyktowanego logiką wewnątrzpartyjnych sporów i środowiskowych rozsad. Taka logika wskazuje na imperatyw politycznego i ideowego balansowania, przy jednoczesnym respektowaniu panującej poprawności politycznej. Co jest jednak jest wspomnianym niezatartym piętnem owej prezydentury, a gdzie można szukać przejawów chwilowego „odchylenia” prezydenckiej polityki w stosunku do propozycji rządowych? Szerzej, co składa się na korpus poglądów obecnego prezydenta Rzeczypospolitej w wymiarze tak wewnętrznym jak i w sferze polityki zagranicznej? Ale również, co może być wyzyskane na korzyść państwa, jako rezultat naturalnych skądinąd (w demokracji nieoligarchicznej) procesów równoważenia się ośrodków władzy lub choćby pozorów tego zjawiska?

W dziedzinie polityki historycznej poglądy i gesty Bronisława Komorowskiego wydają się na pierwszy rzut oka jednoznaczne i znamienne. Szczególnie, gdy w pamięci tak silnie zapisuje się obraz zaproszonego na obrady Rady Bezpieczeństwa Narodowego Wojciecha Jaruzelskiego, którego obecność była ostentacyjnym gestem wobec środowisk postkomunistycznych. Proponuję jednak uznać ten wymowny gest za coś więcej – za swego rodzaju świadectwo oddające dość osobliwe „poczucie wrażliwości historycznej” obecnego

zwierzchnika sił zbrojnych. Jak twierdził w jednym z wywiadów dla „Polityki” (...) *zacząć należy od zasadniczego pytania, czy w ogóle powinno się mówić o polityce historycznej, czy też musimy znaleźć inne określenie zjawiska styku tradycji, przeżyć historycznych, dumy narodowej i polityki.* Podczas gdy wszyscy forsują własną politykę historyczną, często wydając ogromne sumy na różne formy jej upowszechniania przez instytucje i muzea, a nikomu o zdrowym politycznym zmyśle nie przychodzi do głowy kwestionowanie zasadności prowadzenia transparentnej polityki dotyczącej własnej przeszłości, prezydent Komorowski popada w zadumę nad kwestią terminów i istotą państwowych starań o pielęgnowania przeszłości. Nieocenionym doradcą w tej sprawie okazał się prof. Tomasz Nałęcz, którego nominację można odczytywać jako zdecydowaną kontrę w stosunku do linii poprzedniego prezydenta. Zresztą sam Komorowski jednoznacznie dystansuje się od perspektywy historycznej swego poprzednika. Polityka historyczna Komorowskiego, pomimo jej wyraźnej jednostronności, nie jest jednak jednowymiarowa. W analizie tego jak prezydent akcentuje znaczenie i wartość innych środowisk historycznych (niż postkomunistyczne i pomarcowe) nie sposób np. pominąć drobnych, ale jednak, gestów wobec obozu narodo – demokratycznego. Wspominanie Romana Dmowskiego podczas obchodów święta niepodległości, czy oddanie hołdu Wiesławowi Chrzanowskiemu to sytuacja niewygodna dla przedstawicieli lewicowo – liberalnej grupy. Ale i te wyjątki zdają się potwierdzać regułę. Pomimo powierzchownego rozmachu, polityka w sferze dbania o historię prawdziwą, stanowiącą istotny element tak edukacji, jak i działalności międzynarodowej jest w tym wypadku domeną jednostronnej wizji przeszłości wyrażającej się w stosunku prezydenta do lustracji, środowisk postkomunistycznych czy faworyzowaniu określonej grupy solidarnościowych opozycjonistów. Nie zmienia tego funkcja mediatora, jaką przyjął prezydent w sporze o program lekcji historii w szkołach. W tym przypadku działanie poskutkowało

spełnieniem minimum postulatów konserwatywnych przeciwników planowanych zmian. Aksjomat działań prezydenta pozostaje jednak niewzruszony i wyraża politycznie poprawną, a historycznie wątpliwą narrację, podyktowaną przez okrągłostołową umowę ugodowej części opozycji z komunistami.

Ale czy podobnie rzecz się ma z polityką wewnętrzną? Czy powierzchowna niespójność, czy jak kto woli wielowątkowość strategii prezydenckiej stanowi wygodną przykrywkę dla konkretnych poglądów i realnych działań na krajowej scenie politycznej? Warto mieć na uwadze ogólne przesłanie, jakie towarzyszyło Bronisławowi Komorowskiemu, gdy jako kandydat na prezydenta wybrał za hasło swej kampanii słowa „zgoda buduje”. Były marszałek sejmu miał być osobą scalającą wspólnotę polityczną po tragedii smoleńskiej, sprawować urząd w sposób konsensualny i potwierdzający jedność najwyższych instytucji państwowych nie dążących do pogłębiania podziałów społecznych. Abstrahując od faktu, że jego przeszłość polityka o osobliwych kontaktach z generalicją zbierającą bojowe szlify w czasie stanu wojennego, jedyne przedstawiciela PO głosującego przeciwko likwidacji WSI, czy wreszcie jednego z najbardziej zacieklej przeciwników braci Kaczyńskich raczej nie predestynowała go do roli wspólnotowego zwornika, „ojca narodu”, rok 2010 nie przyniósł w tej mierze żadnego przełomu.

Komorowski zaczął swoją prezydenturę od deklaracji usunięcia krzyża spod pałacu prezydenckiego, co już na starcie oznaczało zdecydowaną demonstrację siły i braku ugodowości. W niedawnym wywiadzie dla Wprost, prezydent tak ocenił główne powody porażki w tworzeniu ponadpartyjnego konsensusu politycznego: (...) *budowanie wspólnoty jest bardzo trudne w warunkach podziału w społeczeństwie związanego*

m.in. z katastrofą smoleńską. Eliminacji tego podziału nie udało mi się osiągnąć. Jeszcze. Prezydent podtrzymuje więc, że nadal ma ambicje scalania wspólnoty narodowej. Zamiary te są szczególnie istotne w kontekście ostentacyjnych deklaracji o popularności także wśród elektoratu o tradycyjnych poglądach (czyli w obozie przeciwników politycznych) oraz konkurencji o sympatię centroprawicowych wyborców. Przyjmijmy jednak na moment, że w istocie Bronisław Komorowski przedsięwziął plan odbudowania politycznej jedności Polaków. Oznaczało by to, że obecny prezydent wysoko ocenia pozostawione mu w konstytucji kompetencje i prerogatywy, a już szczególnie majestat i symbolikę swojego urzędu. Mało tego, musi się także liczyć z koniecznością wypracowania jeszcze mocniejszej niż wcześniej pozycji we własnej partii oraz stworzenia silnego zaplecza intelektualnego umożliwiającego realizację tak ambitnego celu. Innymi słowy należałoby się spodziewać człowieka o pogłębionej świadomości powagi urzędu prezydenta RP, zdolnego do swobodnego, niczym nieskrępowanego działania w obrębie własnej partii, a także posiadającego niezrównane grono obiektywnych ekspertów, fachowców, czyli urzędniczą elitę elit, w dodatku z silnym etosem służby publicznej. Żaden z tych składników nie jest cechą charakterystyczną obecnej prezydentury.

Okrojone prerogatywy prezydenta, choć nie wykluczają jego aktywności szczególnie w obszarze budowania spójności narodowej (polityka historyczna, przyznawanie orderów, kampanie społeczne, etc.) wymagają zdecydowanej podmiotowości, szczególnie, gdy ma się tak daleko idące ambicje. Z tego punktu widzenia istotną przesłanką na korzyść Komorowskiego mógłby być silny mandat społeczny (bezpośrednie wybory) oraz wspomniane już największe poparcie społeczne wśród wszystkich polityków. Jednak prezydentura aksjologiczna, jakiej wymagałyby powyższe cele musiałaby jednak

zawierać w sobie silne przesłanie o majestacie tego urzędu, wymowności jego niektórych kompetencji, a nawet pewnej idealizującej aprecjacji ustrojowej jego wagi. W wypadku obecnej administracji nie może być o tym mowy. Już sam fakt, że kandydatura Komorowskiego była wyborem czysto negatywnym (przede wszystkim rezygnacja z kandydowania Donalda Tuska, ale także teatrzyk związany z „prawyborami” w łonie PO) wiele mówi o aksjologicznym tle tej prezydentury i potencjale tak wyłonionego kandydata. Swego rodzaju deprecjacja tego urzędu nie jest bowiem sprawą li tylko konstytucyjnych braków, ale przede wszystkim postaw głównych rozgrywających na scenie politycznej. Model żyrandolowej prezydentury to nie wymysł pravicowych publicystów, lecz intelektualne przyzwolenie tak części polityków, jak i establishmentu na bierny lub czynny sprzeciw wobec prezydentury ambitnej, płodnej, jaskrawej, koncepcyjnej i aksjologicznej. Takiej, która sięga w swych projektach ideowych do tradycji z przeszłości.

Te ostatnie cechy kadencji Lecha Kaczyńskiego nijak mają się do władztwa Komorowskiego. Kaczyński mógł swoje stanowisko budować w oparciu o symboliczną pozycję w partii, horyzonty jego polityczności były znacznie szersze od możliwości następcy. Zamknięty w logice partyjnych sporów i przepychanek (np. paktowanie ze Schetyną) Komorowski w ostatecznym rozrachunku pozostaje jednym z kilku podmiotów o pośledniejszym znaczeniu. Wybicie się na nieco bardziej samodzielne działania jest utrudnione także przez systemowy marazm koalicyjnych rządów PO- PSL. Trochę na własne życzenie, ale przede wszystkim ze względu na węzeł gordyjski swojej biografii, wcześniejszych postaw, światopoglądu, systemu partyjnego Komorowski nie może osiągnąć suwerenności politycznej. Wszystko to razem, w połączeniu z brakiem charyzmy musi rodzić obraz dość ubogiej prezydentury. Sprawy ocalić nie może również zaplecze

prezydenta. Znaleźć w nim można głównie osoby związane z Unią Demokratyczną, umysły dość zwietrzałe i przypominające stagnację, indyferentyzm i inercję przywództwa UD jeszcze z lat 90. Nie brakuje także ostrych polemistów gubiących w sporach naukowy obiektywizm (vide prof. Kuźniar).

Czy jednak o prezydenturze Komorowskiego można powiedzieć, iż jest ona ze wszech miar inercyjna, spolegliwa i niemrawa? Nie do końca. W przestrzeni działań prezydenta jest bowiem pewien bardzo wąski margines swobody wynikający wprost z nominalnej niezależności od innych organów władzy. Prezydent choć słaby ustrojowo posiada swoje instrumenty prawne dające możliwość jeśli nie podmiotowości (Kaczyński) to choćby minimum autonomii. Pierwszy obywatel RP może przyjąć choćby rolę demokratycznego kontrolera, pilnie monitorującego parlamentarne poczynania władzy ustawodawczej. W przypadku Komorowskiego innym bodźcem, czysto partykularnym, jest chęć zdobycia istotniejszej pozycji we własnym obozie politycznym, szczególnie zważywszy na tak długie rządy jednego polityka i na istniejące w łonie PO (słabe co prawda) skrzydła o odmiennych obliczach ideowych. Jednak jak pokazują przeszło 2 lata kadencji, Bronisław Komorowski nie zdecydował się na wcielanie w życie monteskiuszowskich reguł równoważenia władz.

Kilka razy wetował pomysły rządzącej platformy, jednak zawsze odnosiło się to do spraw drugorzędnych (np. status uczelni w Dęblinie). Co gorsza, niektóre własne inicjatywy ośrodka prezydenckiego nie miały nic wspólnego z obroną demokratycznych zasad wolności słowa.

Tak było przede wszystkim z pomysłem ustawy ograniczającej wolność zgromadzeń. Swego rodzaju grę pozorów uprawiał prezydent w trakcie ważenia się losów otwartych funduszy emerytalnych. Organizując spotkanie w pałacu prezydenckim dawał nadzieję na obronę status quo przez ekonomicznych liberałów. I tym razem jednak nie zdecydował się na kontestowanie posunięć rządu Tuska. Nawet w sytuacjach ewidentnie zagrażających jawności i transparentności życia publicznego prezydent pozostawał zadziwiająco pasywny (np. ustawa o ograniczeniu prawa do informacji skierowana przez B.K. do Trybunału, a więc kwestionująca nie meritum, a tylko sposób uchwalenia). Zatem również w sferze czysto praktycznej, rozumianej jako decyzje autonomicznego ośrodka władzy, należy odnotować ten sam brak rzeczywistej ambicji bycia w politycznej czołówce lub choćby skłonności do rzetelnej kontroli poczynań rządu. Jest to prezydentura wycofana, pozostawiająca pole politycznego i strategicznego wysiłku innym, a koncentrująca się na trwaniu, niekiedy przerywanym pozorami działań wbrew planom premiera.

Lekcję pogładową rzeczywistego rozmachu tej prezydentury, jej zamierzeń koncepcyjnych, samookreślenia wobec krajowych ośrodków władzy, czy wreszcie filozofii politycznej mającej przekuć się w realne decyzje polityczne i zmiany sojusznicze daje polityka zagraniczna, a raczej związane z nią deklaracje. Otóż w tym wypadku, pomimo licznych wpadek już na etapie kampanii wyborczej, Bronisław Komorowski najtrafniej wyraża swój sposób politycznego istnienia. Ten rodzaj politycznego bycia ma kilka własnych aksjomatów odnoszących się do tworzenia polityki zewnętrznej, jej głównych geopolitycznych kierunków, elastyczności w deklarowaniu pewnych postaw i swoistego rozumianego realizmu jego programu. Po pierwsze, Komorowski odrzucił fundament dyplomacji Lecha Kaczyńskiego, jakim była polityka wschodnia rozumiana jako mozolne wycinanie niezależnej i

solidarnej przestrzeni geopolityczno – energetycznej w Europie Środkowowschodniej. Wizja mająca zarówno komponenty metapolitycznego projektu opartego o wspólnotę historii, geografii, losu, ale może przede wszystkim znajdującą realną formę w energetycznych projektach zbiorowej podmiotowości. Taki projekt wschodni jako instrument budowania polityki zagranicznej jest jednak obcy obecnemu prezydentowi. Głównym zadaniem, jakie postawił przed sobą były marszałek sejmu było eklektyczne „pojednanie z Rosją”. Ów przełom zaczął w pewnym momencie przybierać jednak niebezpieczne formy wprost zagrażając polskiemu interesowi. Przede wszystkim chodzi o nakłanianie prezydenta Federacji Rosyjskiej, goszczącego w Polsce w grudniu 2010 roku, do wspierania aktywności rosyjskiego biznesu energetycznego na polskim rynku, w szczególnym kontekście prywatyzacji Grupy Lotos. To wtedy Komorowski przekonywał, że system przesyłu energii musi opierać się na biznesie, uciekając od akcentów politycznych. *Jestem przekonany, że także w ramach zbliżenia UE - Rosja taki punkt widzenia będzie przybierał na znaczeniu w relacjach ogólnoeuropejskich*[1]. W tym miejscu ujawnia się przepaść między dyplomacją Komorowskiego, a zamysłami Lecha Kaczyńskiego.

Z jednej strony widać złudne przekonanie dotyczące czysto biznesowego charakteru aktywności Rosjan, nakłanianie UE do większej politycznej wstrzemięźliwości w zakresie polityki energetycznej i brak myślenia w kategoriach podmiotowości. Doskonałą ilustracją różnic między polityką zagraniczną poprzednika i obecnej głowy państwa jest stosunek do Ukrainy. Kaczyński potrafił patrzeć na Ukrainę jako na dziedziczkę wspólnej przeszłości, jednocześnie mającą słuszne aspiracje ugruntowania suwerenności i niezależności od Rosji. W tej optyce nawet wybór Janukowycza, choć wsteczny i zły dla sprawy europejskich aspiracji, kazałby jednak szukać

szans na zbliżanie Europy do Ukrainy. Dystans jaki dzieli obecnego prezydenta od jego poprzednika dobrze oddają następujące słowa: *Na naszych wschodnich sąsiadów i na nasze relacje z nimi należy jednak patrzeć z perspektywy całego 20-lecia zmian w tym rejonie Europy. Tu widać znaczny postęp. Ukraina umocniła swoją suwerenność i poczucie odrębności narodowej. Obecnie rządząca ekipa wynegocjowała to, co do niedawna wydawało się mrzonką - umowę stowarzyszeniową z Unią Europejską.*^[2] Tę wypowiedź, a także te odnoszące się do sytuacji na Litwie można odczytywać jako wycofywanie się polskich władz z aktywności w tym obszarze zewnętrznej polityki państwa. Wszak przychylność jaką darzył Lech Kaczyński wschodnich sąsiadów Rzeczypospolitej, znajdująca wyraz w świadomych projektach geoenergetycznych i wrażliwej polityce historycznej, nie pozwoliłaby tragicznie zmarłemu prezydentowi na pouczenia szkolnego prymusa, który przypomina młodszemu koledze o „konieczności odrobienia pracy domowej” (Komorowski).

Uwaga ta wynika z drugiego aksjomatu politycznego sposobu bycia Komorowskiego na arenie międzynarodowej, także przeciwnego pryncypiom jego poprzednika. Otóż, były szef MON już na etapie kampanii wyborczej deklarował swój plan międzynarodowy: *Chodzi o to żeby nie psuć tych głównych celów polskiej polityki zagranicznej. Dla mnie to jest członkostwo w Unii Europejskiej, umocnienie pozycji Polski w Unii, to jest Trójkąt Weimarski, współpraca z Niemcami, Francją, bo to jest ta sama oś geopolityczna w Europie.*^[3] Odkładając na bok wątpliwe przekonanie o tym, czy rzeczywiście Francja to ta sama oś geopolityczna (raczej wręcz odwrotnie, Francja zdaje się tradycyjnie bardziej przejmować śródziemnomorskim kierunkiem ekspansji), należy podkreślić szczególne zjawisko prymatu kwestii europejskich. W przypadku Komorowskiego objawiało się to również w kwestionowaniu potrzeby obecności wojsk amerykańskich w rejonie

Europy, ale przede wszystkim w kolejności reformowania i wciągania Ukrainy w orbitę działań UE. Odwrotnie niż Kaczyński, prezydent uznał, że to Ukraina musi wprawdzie dorosnąć do bycia godnym kandydatem zachodnich instytucji, z czasem dopiero starając się o akcesję („odrobienie lekcji”). Lech Kaczyński widział rzecz odmiennie – uznając dojrzałość (instytucje ustrojowe) i siłę oddziaływania państw i UE jako całości, uważał, że to Europa powinna otworzyć się na wschodniego sąsiada Polski. Ukraina bowiem bez realnego działania Europy miała prędzej czy później skończyć w energetycznych objęciach Kremla. I odwrotnie, Europa bez Ukrainy miała zdecydowanie ograniczoną swobodę poczynania wobec rosyjskich planów energetycznych, w dodatku narażając się na pokusę nielojalnych, niesolidarnych przedsięwzięć gazowych. To m. in. przybliżaniu Europie Ukrainy były poświęcone wysiłki poprzedniego prezydenta Rzeczypospolitej. Symbolika, wymowność gestów to dość znaczący składnik dyplomacji, stąd wybór pierwszych podróży Komorowskiego przypieczętowanie selekcję priorytetowych partnerów: Bruksela, Paryż, Berlin.

Trzeci pewnik politycznej postawy Bronisława Komorowskiego jest najmniej aksjomatyczny, ale jednocześnie stały i charakterystyczny dla poczynania prezydenta. Mowa mianowicie o zmienności, elastyczności i koniunkturalizmie głoszonych poglądów. Sprawy dotyczą rzeczy nie drugorzędnych, marginalnych czy mniej znaczących, ale kwestii rudymenarnych, sposobu widzenia świata, decydującego o podstawach projektów politycznych, ze szczególnym uwzględnieniem pojęć takich jak naród, suwerenność, demokracja. Być może właśnie jałowość filozofii politycznej Komorowskiego, jej niemietapolityczny wymiar ujawniają się najsilniej w stosunku polityka do integracji europejskiej i modelu zjednoczonej Europy. Jeszcze w chwili, gdy ważyły się losy traktatu nicejskiego obecny prezydent był zdecydowanym oponentem

zwolenników hasła „Nicea albo śmierć”. Niemalże równie gorliwie zwalczał przeciwników z PiS-u, jak i kolegów partyjnych Jana Rokitę i Jacka Saryusza – Wolskiego, którzy bronili korzystnego dla Polski systemu przeliczania głosów w Radzie UE. Także na początku swojej kadencji (co widać powyżej) koncentrował się na europejskim obszarze polityki międzynarodowej, skupiając wysiłki na rzecz pogłębiania integracji. Jednak w maju tego roku postanowił zorganizować zaskakująco eurosceptycznego spotkania, jak na standardy, do których przyzwyczał swoich oponentów. Wówczas zdecydowanie deklarował: *Nie zgadzam się z krytyką państwa narodowego. Państwa narodowe mają się dobrze[4]*. Mało tego, ten przeciwnik pierwiastkowego sposobu głosowania w Radzie UE dawał przykład wyborów we Francji, jako pouczającego przypadku korekty polityki europejskiej. Są tu rzecz jasna potrzebne dwie kardynalne uwagi zmieniające nieco postać rzeczy. Po pierwsze, Komorowski zdecydował się na wystąpienie w chwili oczywistego kryzysu przywództwa w Europie, co jednocześnie stanowiło kontrę wobec osobliwości deklarowanych przez Radosława Sikorskiego w jego berlińskim wystąpieniu. Po drugie, wśród zaproszonych do dyskusji gości znajdowali się dobrze znani w otoczeniu prezydenckim przedstawiciele środowisk UD i UW, na czele z Tadeuszem Mazowieckim. Jest to być może najbardziej znamienne obraz tej prezydentury. Ideowe odchylenie, jak gdyby odstąpienie od utartej, poprawnej politycznie wykładni o UE, w oczywisty sposób lukrowanej i niezgodnej z rzeczywistością interpretacji stanu europejskiej wspólnoty, zostaje nadwątlone przez obecność starych kompanów prezydenta, tak samo jak on szczerze zatroskanych obecnym stanem Unii Europejskiej. Ktoś powie, że prezydent trafnie odczytuje zmienność i dynamikę okoliczności kryzysu, inny powie, że to dość partykularne rozgrywki ośrodka prezydenckiego, a jeszcze inny z lekką ironią nie pozbawioną jednak obaw, przywoła słowa pana Zagłoby: „diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni”.

Jeśli do tego spisu dodamy dyletanckie opinie prezydenta w sprawie gazu łupkowego lub in vitro rysuje się obraz dość ubogiej, by nie powiedzieć słabej i mizernej prezydentury. Oto kandydat deklarujący chęć pojednania narodowego po dwóch latach odnajduje się w jeszcze bardziej zaognionej sytuacji społecznej, doznając jednocześnie jako głowa państwa upokorzeń w śledztwie dotyczącym katastrofy smoleńskiej. Z drugiej strony, jakiegokolwiek wątki i narracje uniwersalizujące instytucję prezydenta jako ponadnarodowego męża stanu i strażnika wspólnotowości giną pośród tak jaskrawo partykularnych prób ochrony skompromitowanego prokuratora wojskowego. W sukurs nie przychodzi także tożsamość ideowa Komorowskiego, który sam siebie określając konserwatystą jednocześnie dość pokrętnie skłania się do akceptacji postulatów lewicy dotyczących związków partnerskich lub in vitro. Sprawia tym samym wrażenie relatywisty, dla którego tradycja to jedynie bigos i polowania. Próżni koncepcyjnej prezydenta i jego środowiska nie sposób tłumaczyć określonymi okolicznościami partyjnymi i faktem braku konkurenta politycznego w innych sferach władzy (jak było przez ponad połowę kadencji Lecha Kaczyńskiego). Wszak z obowiązku myślenia, politycznego działania i wytyczania strategicznych kierunków nie zwalnia zupełnie nic. Jednak to co w działaniach wewnętrznych prezydenta można opisać mianem pasywizmu, bierności, ucieczki od ról państwowego sanatora lub choćby kontrolera równoważącego siłę poczynania władz, w polityce zagranicznej ma rysy zdecydowanie wyostrome, lepiej ukazujące impotencję obecnej prezydentury. Łatwo opanować granie na różnych politycznych instrumentach w polityce wewnętrznej (a to Jaruzelski w RBN, a to kustosz patriotyzmu). Sprawy polityki zagranicznej i sposobu opisu własnego rozumienia miejsca oraz statusu Polski w Europie i na świecie należą już do dziedziny trudniejszej.

Decyduje o tym nie tylko kryzys ekonomiczno – polityczny na świecie, nie tylko będące wyzwaniem dziedzictwo programu Lecha Kaczyńskiego, ani nawet brak kompetencji Komorowskiego w tej dziedzinie, ale silnie aksjologiczny wymiar polityki zagranicznej. Sprawy nie dotyczą stopnia idealizmu zamierzonych planów, ale istoty filozofii polityki zagranicznej. Szczególnie wobec projektów zagranicznych pierwiastek uniwersalizmu, rozumiany jako ponadczasowość i ciągłość pojmowania własnej ojczyzny przez pryzmat bytu politycznego zakorzenionego w pewnym środowisku postawach, czerpiącego z danego dziedzictwa, wspólnotowej historii i znajdującego się pod wpływem określonych sił kulturowych, ujawnia się mocno aksjologiczny wymiar tej dziedziny aktywności państwa. W tym sensie ambitne projekty polityczne mogą, a nawet muszą być domeną imponderabiliów (jak chciał tego Piłsudski). W tym znaczeniu również nie ma nic bardziej realnego niż budowanie wspólnej aksjologii polityki zagranicznej, której wsparcie stanowi jej wielowiekowa tradycja i przeszłość wskazująca tak szanse, jak i zagrożenia. Jałowość pustych frazesów na temat integracji europejskiej obniża rangę polityka, w ciemno powtarzającego bezmyślne formułki. Ostatecznie nie ma w Polsce urzędu, który miałby większe zapotrzebowanie politycznej powagi niż prezydent Rzeczypospolitej, pierwszy obywatel i Zwierzchnik Sił Zbrojnych. Te polityczną powagę budować należy na głębokich, odważnych i uniwersalnych podstawach, na tożsamości, podmiotowości i odwadze planu, a także na uwzględnieniu rzeczywistych okoliczności, które jednak nie znoszą ambicji bycia panem własnego losu. Problem w tym, że król jest nagi właśnie tu, to jest w dziedzinie koncepcji własnej polityki zagranicznej. Bronisław Komorowski ma niewiele lub zgoła nic do zaproponowania w sferze zmiany statusu Rzeczypospolitej w stosunkach międzynarodowych. Abdykacja rządu z obowiązku prowadzenie polityki zagranicznej (nie

administrowania) znajduje przykre i niebezpieczne potwierdzenie w działaniach prezydenta. Co gorsza, Bronisław Komorowski nie mając w zanadrzu silnych argumentów na rzecz własnych poczynań dyplomatycznych, serwuje opinii publicznej tzw. realizm bałamutny. Właśnie ta odmiana realizmu nakazuje wycofanie aktywności państwa polskiego w relacjach z Litwą czy Ukrainą, a kontakty z USA sprowadza do kwestii wiz.

Konkludując, jak dotąd 2 lata kadencji prezydenta Bronisława Komorowskiego odznaczyły się niespójnym wizerunkiem głowy państwa, niekoherentną, pozbawioną metapolitycznej treści wizją własnej podmiotowości, ideowym eskapizmem w sferze polityki zagranicznej i ograniczaniem politycznej aktywności do przestrzeni partyjnej. Wszystko to jest przykrym dowodem funkcjonowania w Polsce prezydentury impotentnej, pozbawionej bliżej zdefiniowanej tożsamości i ograniczonej do trwania. Jak na razie perspektywy przywrócenia powagi polskiej polityce są odległe, a z każdym rokiem obecnej kadencji mogą się oddalać.

Bartosz Światłowski

[1] <http://biznes.onet.pl/miedwiediew-rosyjskie-firmy-zainteresowane-kupnem-,4017450,news-detaj>

[2] <http://www.prezydent.pl/aktualnosci/wypowiedzi-prezydenta/wywiady/art,127,wywiad-prezydenta-dla-tygodnika-wprost,1.html>

[3] <http://wybory.gazeta.pl/wybory/2029020,106728,8085650.html>

[4]

http://wyborcza.pl/1,109204,11676937,Komorowskiego_Europa_narodow.html